21. grudnia. Nr. 30. Rok 1860.

CZYTELNIA
dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1., 11. i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt., półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

Od nowego roku rozpoczynamy rok II. *Czytelni dla młodzieży.* Kierunek redakcyi, oceniony przychylnie przez całe dziennikarstwo polskie, pozostaje ten sam; również i współpracownicy ciż sami zostają, a kilku nowych przybywa.

Liczne przystąpienie do prenumeraty wesprze usiłowania nasze i umożebni rozwój pisma, do jakiego doprowadzić go zamierzamy; w tym celu załączamy do każdego numeru po 2 listy zwrotne. Powiększymy format Czytelni.

Cena pozostaje taż sama t. j.

Rocznie *w miejscu*	4 złr. wal. austr.	*Z przesyłką pocztową:* rocznie	4 złr. 40 cnt. w. a.
półrocznie „	2 „ „ „	„ „ półrocznie	2 „ 20 „ „ „
ćwierćrocznie „	1 „ „ „	„ „ ćwierćrocznie	1 „ 10 „ „ „

Prenumeratorowie, którzy już złożyli prenumeratę za czwarty kwartał, odbierać będą Czytelnię do marca. Jeżeli sobie życzą prenumerować dalej, raczą nadesłać:

należytość roczną: . . . . . 3 złr. 67 cnt. w. a.
„ półroczną . . . . . 1 złr. 47 cnt. w. a.

Od nowego roku dodawać będziemy do każdego numeru *Czytelni* po jednym arkuszu mniejszych powieści historycznych i z życia towarzyskiego, pod tytułem: *Obrazki i Szkice przez Karola Cieszewskiego.* Powieści te wyjdą w dwóch tomach, każdy tom obejmywać będzie 10—12 arkuszy druku. Przedpłata na nie wynosi 1 złr. w. a. — Cena księgarska będzie 2 złr. w. a. Później dodawać będziemy powieści innych autorów, których współpracownictwo zapewniliśmy sobie.

Kto więc do prenumeraty na Czytelnię dołączy 1 złr. w. a., odbierać je będzie razem z Czytelnią. — *Można i osobno prenumerować.*

Z listu Joachima Lelewela do redaktora.

Z serdeczną radością i z uczuciem wdzięczności za słowa otuchy i zachęty, odbieramy na list nasz odpowiedź sędziwego Nestora pisarzów naszych, któryże zawiera oraz sprostowanie podanych o nim w niektórych numerach Czytelni szczegółów — całkowicie podajemy.

.... „Na miły Wasz list krótko odpowiadam. Zachęty niepotrzebujecie, bo naprzód Wasza ochota najlepszą jest zachętą; a potym pożytek i powodzenie. Tego Wam życzę. Przeciwnościami jakie zdarzyć się mogą, niezrażajcie się. Szczęść Boże! — A mnie staremu cieszyć się z trudów Waszych i owocu jaki przyniosą dla światła i sprawy narodowej.

W nrze 7 i 8 czytelni Waszej dostrzegam spomnienia młodszych lat mojich. W tej spomince coś sprostować wypada.

Roku 1816 rzeczywiście wymyśliłem Tygodnik wileński. Drukarzowi Żółkowskiemu, co dzierzawą trzymał pijarską drukarnię dałem rozmaitego rodzaju pism mojich więcej jak na rok cały na zapas w czasie niedostatku. Wszystko to w następnych dopiero latach przydało się i użyte było bezimiennie. Redaktorem zaś był, nieja, ale znany dziś z wielu ważnych dzieł (mnie nieznanych) Michał Baliński, czym niemniej piśmiennictwu wielce się przysłużył. W Warszawie tylko, zróżnych przyczyn, mniemanie o méj redakcyj, upornie żywiono.

Żem pojudzał obozy, a rzadko się wdawał w disputy, to prawda. Jednak pomnę był jakiś mój artykulik wielce kompromitujący gust klasiczności, za który Brodziński mi dziękował. A gdy razu jednego, wyjednany mym zabiegiem litografowany w Paryżu, *galerie des hommes celébres*, portret Mickiewicza przyniosłem obozom: co się działo! powiedzieć niezdołam,

o zatrzeciemi i czwartemi drzwiami salonów, uchodząc, słyszałem tylko niewypowiedziany zgiełk i trzask: co się działo! powiedzić może Dmochowski Franciszek, tam obecny. — Niewadzi zaś nadmienić, że w spotykaniu się osóbnym z Osińskim lub Koźmianem w rozmowie na cztery oczy, Mickiewicz nie był tak poniewierany; a Koźmianowi nie brakowało słów do ocenienia zdolności i talentu jego. Pocóż we wrzawie *furia talis?* Pag. 52 kol. 3, wiersz ostatni u dołu, zmylone nazwisko Bronowski poprawić należy na Borowski *).

Szkice akademickie.

II.

Bursz.

(Dokończenie).

Przez cały dzień nie widziałem Józefa; nie myślałem nawet o tem aby go odwiedzić, tak mocno dotknął mnie jego komplement pożegnawczy. A choć często przychodziło mi do głowy jego smutne położenie, to obrażona duma odpychała wszelkie myśli pomocy lub współczucia.

Późnym już wieczorem przezwyciężyłem obrażoną dumę.

— On nie był przy zdrowych zmysłach — pomyślałem w duszy i puściłem się w odwiedziny do mego *bursza*, ciekawy jak też sobie zaradził w tym ciężkim kłopocie.

Tą razą nie odpędzała mię ciemność w jego oknie wydrapałem się na drugie piętro i otworzyłem drzwi. Cicho i ciemno było w pokoju; nikt się nie odezwał na moje wejście, tylko z jednego rogu izby dochodziło mię jakby ciężkie sapanie.

Wyznam tu szczerze, iż jakkolwiek dosyć odważny, uczułem jak mię dreszcz przeszedł od stóp do głowy i znowu na powrót. I tak stałem chwilkę podobny w mym przestrachu do dziecka, co znajdzie się nagle w ciemnym i cichym pokoju.

— Ha, niech sie dzieje wola boska! mruknąłem przyszedłszy do siebie, i zacząłem się obracać i macać za zapałkami. Znalazłem je wreszcie na stoliku obok łóżka, lecz tu uczułem powtórnie dreszcz zimny, bo ciężki jakiś oddech, odzywał się teraz tuż koło mnie.

Jedno potarcie — jasność — i rozwiązała się zagadka.

Na łóżku leżał Józio na wpół odkryty: twarz czerwona jak burak, a włosy w nieładzie. Podniósł ociężałe powieki, i milcząc spojrzał na mnie błędnym wzrokiem.

— Co tobie? — zawołałem przelękniony przechylając się ku niemu.

Józio zamiast odpowiedzi zaczął coś bredzić jednostajnym głosem. Nie trzeba mi było więcej: odgadłem że ma gorączkę.

Trzymając się zasady że to nie jest jakimś uczynkiem miłości chrześciańskiej, lecz *powinnością koleżeńską* ratować się wzajemnie w każdej chwili i w każdym wypadku, pobiegłem natychmiast do sąsiadki Józia, od której wynajmował pokój.

Sąsiadka ta, była to staruszka, bezdzietna wdowa po jakimś nieznacznym urzędniku; do niej schodziły się biedne dziewczęta do szycia, a staruszce było przyjemniej między szczebiotliwą zgrają. Obok tej przyjemności, znajdowała ona jeszcze inną w towarzystwie niemłodego już mopsa: *habitudo est altera natura*, a mops ten przypominał jej jeszcze ostatnie szczęśliwe chwile w życiu.

Wpadłszy do pokoju, zastałem staruszkę przy wieczornej kawuńci wraz, z dwudziestokilkoletnim Fidelem. Fidel skoczył zaraz warcząc i usiłował ugryść mię przez but w nogę, lecz brak zębów odmówił mu tej satysfakcyi.

Staruszka przelękła się z razu, zwłaszcza, że także już nie młoda towarzyszka Kasia, drzymała w jak najlepsze w kuchni nie usłyszawszy wcale moich kroków. Szczekanie psa obudziło ją dopiero z słodkiego marzenia. Zerwała się, stanęła w progu, i obiedwie staruszki spoglądały na mnie pytającym wzrokiem; tylko trzeci staruszek pies oznajmiał ciągłem warczeniem otwarcie swoje niezadowolenie.

Tłumaczenie moje było krótkie i zrozumiałe. Obie kobiety zawołały: Jezus Marja! przyrzekły natychmiast pomoc swoją wraz z kleikami, a ja tymczasem pobiegłem po lekarza, chcąc się przekonać o prawdziwem stanie i niebezpieczeństwie słabości Józia.

— *Encephalitis!* Zapalenie mózgu — zawyrokował przyprowadzony Eskulap, zrobiwszy obszerną diagnozę.

— Lód przykładać, dieta, lekarstwo — brzmiały dalsze rozkazy, poparte receptą zapisaną aż na dwie strony. Józio leżał bezprzytomny i czerwony na twarzy.

Nie myślę wcale zmieniać mego szkicu na studjum patologiczne, dla tego pomijam przebieg całej słabości. Opowiem tylko jedną scenę z życia rekonwalescenta w trzy tygodnie później.

Wieczór był bardzo podobny do owego, kiedy odkryłem słabość Józia. Na dworze i w pokoju zalegał już zmrok ciemny; nie brakło atoli światła bożego, bo przez szyby okna przedzierały się promienie księżycowe, odbite o biały a mrozem wyiskrzony zimowy kożuch ziemi. Józio siedział na kanapce — zamyślony — co się przed słabością nie zdarzało; w kominie dogorywały resztki bukowej wiązki.

Józef był blady i wycieńczony słabością; pomimo tego zerwał się, przywitał mnie silnym uściskiem ręki i posadził obok siebie.

— Jakże się masz dzisiaj? — zapytałem.

— O lepiej, znacznie lepiej — odparł Józef. — Jestem rekonwalescentem na ciele i duchu — dodał tęsknie, nie puszczając mej ręki z swoich dłoni.

Radość rozszerzyła mi piersi i serce: nie radość pasterza nad opamiętaniem się zbłąkanej owieczki, lecz czysta koleżeńska, współczująca radość.

*) Przez szacunek dla sędziwego autora zatrzymaliśmy pisownią jego. P. R.

— Czy był kto u ciebie? — pytałem dalej udając obojętność.

— Nikt; oprócz lekarza i ciebie, nikt więcej.

Jakby na zadanie fałszu słowom Józefa, otwarły się w tej chwili drzwi z łoskotem, i trzech karcianych kolegów wpało do pokoju.

— Jak się masz kochany Józiu? — zawołał jeden z nich wesoło — słyszeliśmy żeś zdrów, a Charon nie chciał cię przyjąć do swojej łódki! —

— A zdrów — odparł Józio sucho i obojętnie, nie powstawszy na przywitanie.

— Więc spodziewamy się, że nie będziesz siedział w domu — zawołał inny. — Dziś *soirée* na Strzelnicy, przyszliśmy wziąść i ciebie z sobą — zbieraj się.

Nastąpiła chwila milczenia. Czułem jak ręka Józia drżała; biedny musiał jeszcze walczyć ze swojem burszowstwem. Nagle skoczył z sofki i wyprężył się dumnie.

— Wyście przyjaciele! — zawołał z goryczą. — Jak długo byłem słabym, nie byłem na nic przydatnym: żaden z was nie odwiedził mnie. Teraz chcecie zabić we mnie odmłodniałego ducha i krzepiące ciało. Żegnam was — dodał, wskazując na drzwi.

— Ale, on jeszcze ma gorączkę! — zawołali szanowni koledzy i znikli za drzwiami.

Józef leżał w moich objęciach; czułem ciepłe łzy jego na mojej twarzy. Ledwo że mi się udało uspokoić uczucie w nim rozdrażnione, i posadzić go obok siebie.

— Teraz pojmujesz — odezwałem się spokojnie — iż można mieć wyższe cele, nad szklankę, bilard i karty. Jeżeli społeczeństwo ludzkie tak jest urządzone, iż każda jego cząstka dorzuca swoje ziarnko do dobra powszechnego, tam spoczywa ręka błogosławieństwa bożego. Pracować wedle sił dla kraju ogółu i przyszłości — to dewiza naszego pokolenia młodego. *Gutta cavat lapidem!* Niech się żaden z was nie zraża ciasnym obrębem działania: cnoty i zasługi ciche wywołują najgłośniejsze czyny — woda cicha podmula i gruchocze choćby silnie i sztucznie usypane brzegi. Nam spać nie wolno! Bo młodość to jedyna chwila żywego życia, produkcyjna chwila działania w tegoczesnem życiu. Kto zmarnuje siły swego ciała i ducha w gnuśności lub namiętnościch ku niecnym i podłym zabawom, ten ciężko odpowie przed Bogiem. Młodość to owoc przeszłości a kwiat przyszłości; przeszłość i przyszłość zwracają na nią oczy. Młodość to życie marzenia, życie idei; równo z wiekiem powinna ta idea dojrzeć t. j. skrzepnąć w czyn. A gdzie idea powszechna, tam i działanie powszechne być winno. Nam spać nie wolno!

Józio słuchał mię w milczeniu.

— Mam jedną prożbę do ciebie — odezwałem się po chwili.

— Mów.

— Adaś zgromadził koło siebie pewne kółko, które zamiast czas trwonić na zabawach nikczemnych, wypróżniających kieszeń a jeszcze bardziej serce, obraca go ku innym celom. Czytają tam wspólnie potrzebne dzieła, rozmawiają o użytecznych rzeczach. Chcesz do nich należeć?

Józio nic nie odpowiedział, lecz zaszlochał jak dziecko. A ja pomyślałem sobie: Gdyby to wszyscy byli tacy, toby wolny i niepodległy duch młodości odniósł zwycięztwo.

Nie potrzebuję dodać w końcu iż kto przedtem znał Józia nie pozna go dzisiaj.

DZISIAJ.

(Dokończenie.)

Gdzież Zaporoża Sokoły udałe,
Pokrewne orłom stalowemi szpony;
Dum — bitw — i stepów wychowanki śmiałe,
Stroźliwe ptaki od pogańskiej strony
Gdzież te obrońce Słowiańskich gołębi,
Rodzone wrogi z czarnych wód jastrzębi?
Czy się ukryły pod płaszczem Bojana
Słowiańskich wieszczów ojca — atamana?
Czy pod cień skrzydeł anioła białego,
Jak biały orzeł czekać dnia wielkiego? . . . . .
Smutno nad Dnieprem! Nie tańczą Rusałki,
Bo po kochankach — po mołojcach płaczą,
Głucho nad Dnieprem! a udałe śmiałki
W czajkach przez progów trzynaście nie skaczą!
I Dniepr już przodem czajki atamańskiej
Nie nosi echa dumy mołodeckiej,
Na pobladnienie twarzy bisurmańskiej, —
Co to spędzała krew z twarzy niemieckiej!
Grzmiałoż bo życiem po nad temi wody!
Jak mary serca dziarskiego, młodego,
Gdzie śnią się sława, kochanie i boje,
Jak krasne, jasne obrazki swobody
W wolności stepach czasu wczorajszego,
Dziarskich mołojców konne mknęły roje,
A powieść o nich!... echo młodej sławy,
Jak sen rycerza na pobojowisku,
Z głową na siodle w przeddzień ostrej sprawy,
Jak pieśń przy bojow nucona ognisku;
Jakieś wznoszące łonem epopeje,
Z których dzielnością w serca mężów wieje.

Bujnym się życiem matka Sicz mrówiła,
A dziatwa raźnie po stepie tańczyła,
Z nad Wołgi trzody przypełzły Carycy,
Sokole gniazdo złe kruki opadły,
Najdroższe dobro — swobodę rozkradły.
Nie stało dziatwie Siczy — mołodycy.
I w stepach pusto — tęskno po kozaku,
Jak w sercu dziewy po miłym chłopaku!
Zmarniała dziatwa! Tylko garstka mała
Zbyt rozkochana w swobodzie kozaczej,
Podawszy skrzydła złej doli tułaczej,
Za czarne wody z jękiem uleciała,
I gdzieś zapadła przy gardle Dunaju,
Słać nowe gniazdo w bisurmańskim kraju,
U dawnych wrogów prosić gościnności. —
Czy to nasienie czegoś tam w przyszłości?...
Nie ma już Siczy, nie ma atamanów,
Co na żer krwawy sokoły wodzili,
Dniepr po nich tęskno przy porohach kwili,

*

A pług oracza porze pierś kurhanów.
Serdeczna prawda daleko gdzieś w niebie,
A po sokołach dziedziczy ród kruczy,
A stara sława o żebranym chlebie
Z lirą skrzypiącą po Rusi się włóczy!

Złoto — zielono — młodo w Ukrainie,
W kwieciu, w zieleni rozkosznie wzrok ginie.
Strudzi się stentor nim policzy snopy....
Mnogie stulecia olbrzymiemi stopy,
Szły tędy pieszo lub na grzbiecie konia,
I zapisały naddnieprzańskie błonia,
Przejść swoich dzieje językiem kurhanów,
Niby westchnienie stepu do wolności,
Wyparte z bolem te Sfinxy przeszłości,
Stoją i milczą dla mędrków i panów!
Próżno ciekawi w ich wnętrznościach ryją,
Tylko spróchniałe pokażą im koście,
Ale tajemnic swoich nie odkryją!
A wiele, wiele w kurhanach tam leży,
Prócz starych zbroi i prochów rycerzy.
Ale te zgłoski sercem czytać trzeba:
Trzeba wybłagać na to łaski z nieba,
Bo nic nie dojrzy niewtajemniczony;
A jeśli będziesz na to namaszczony,
Wyczytasz zgłoski — to kurhanów mowa, —
Zaklniesz przeszłości tajemnego ducha;
A stare wieki przyjdą na twe słowa,
Zapadłe usta poddadzą do ucha.
I trzęsąc na się z swoich głów szron siwy,
Krwi swojej spiekłej pokażą ci strugi,
W spowiedzi strasznej, a cichej i długiej,
Wyszepczą zmarłe i poczęte dziwy.

Złoto — zielono — młodo w Ukrainie,
W kwieciu, w zieleni rozkosznie wzrok ginie,
Strudzi się stentor nim policzy snopy....
Lecz na serc niwie wcale nie zielono.
Ludzie nie bracia — a pany i chłopy,
Patrzą na siebie i zyzem i z góry,
I jakby ich drużbę krwią Abla ochrzczono.
Wzrok ludu tego tęskny i ponury,
Choć takie jasne niebo się doń śmieje!
Lud ten sierota, u macochy dziecię,
Co biedne matki własnej nie pamięta —
Jakieś tam żywi zbłąkane nadzieje,
O jakimś lepszym śni w przeczuciach świecie,
Mgli się mu jakaś myśl wielka i święta,
Ale tej myśli biedny nie rozumie.
Czegoś chce biedny, a wyrzec nie umie!
To lud o bracia! och! ale panowie! —
Lecz me westchnienie za nich odpowie.
W jarzmie kark ludu — do jarzma przykuta,
Dłoń panów drząca od poklasków knuta.
Chłopskie żelazne — pańskie złote pęta;
Lecz oba gniecie hańba ołowiana,
Zpod serca chłopa i zpod tętna pana,
Ssą krew o szyi czerwonej pisklęta. —
W kale kradzieży uległa poczęta
A nad tem wszystkiem czarnych skrzydeł cienie,
Jak groźne jakieś Boże dopuszczenie
Jak znak złej wróżby mgłą krwawą okryty,
Ohydną plamą ćmią niebios błękity!

Zazdrośne orlej i sokolej chwały,
Siały szatany strute ziarna, siały,
Na Ukraińskiej czarnej bujnej roli:
Na bied rozpłodek; a męże złej woli
Karmiły żółcią — zdradzieckiem tchem grzały,
Na rozjednanie serc jednoplemiennych,
Aż wybujały plennie a szeroce,
Dały kwiat krwawy i krwawsze owoce.
Co dojrzewały w szumie burz jesiennych!
Jadło je plemie orle i sokole,
A szał pijany zgłuszył dobrą wolę;
Zawrzały w łonach złe żądze Kaina,
I krwawym płaczem jękła Ukraina;
Lecz jeszcze dobra nie konaj nadziejo!
Nie stygnij serce, choć złe wiatry wieją,
Choć chmury z gradem nad nami zawisły.
Bracia znad Niemna, znad Dniestru i Wisły
Do góry czoła i na serca dłonie!
Pokutne hymny spiewajmy — a w łonie
Zapalmy ducha polskiego — Znicz święty.
A kto nań dmucha zwątpieniem — przeklęty!
Prośmy o burze — w burzach nam zbawienie,
. . . .
Nie w cudzoziemców zdradnej obietnicy!
Im sroższe burze — groźniejsze chmur cienie,
Tem śmielej bracia krzepmy się — radujmy —
I milcząc ducha do czynu gotujmy!
Bo to w burz ryku przemawia duch Boży,
Co świat ku prawdzie żenie z kłamstw bezdroża,
Pod kurhanami przyszłych czynów słowo,
Chrzczone nie ludzką lecz Aniołów mową;
Lecz jako cudów nasienie zaklęte,
Czas się dopełnia i słowo dojrzewa.
Wejdą dni one — te dni już poczęte,
We mgłach przyszłości czas skrzydłem powieje,
Bojan pieśń bojów Słowiańskich zaśpiewa
I ziarno w groźbę tyranom dojrzeje!
A będzie o tem dobra wieść w narodzie,
A ziarno nakształt olbrzymiego drzewa,
Grzbiet macierzysty kurhanu przebodzie,
Drzewo wybuja szeroce — wysoce,
Okryje ruską zdrowem cieniem ziemię,
I wyda dobre kwiaty i owoce,
Nakarmi orle i sokole plemie!
A lud poczuje w sobie szepty Boże,
A duch jak rzeka na wiosnę się wzmoże,
I hukną ku sobie od Niemna do Odry,
Od grodu Kija aż do Królow miasta,
Pod hasłem Łady, modłą Radegasta,
Aż klaśnie rażnie o brzegi Dniepr modry, —
A w dni te biada złej sprawie świadczącym!
Biada królowom, w one dni rodzącym,
Biada łakomym prawnukom Odina,
Za krew Słowiańską i za krew Litwina!

K.

Ewaryst Estkowski *).

Ewaryst Estkowski urodził się roku 1820 na wsi Drządzgowie, powiecie średzkim, w Wielkopolsce, z Jana i Katarzyny Estkowskich. Do szóstego roku życia swego wychowywał się pod okiem rodziców, następnie zaś oddany został do szkółki elementarnej, pod dozór wiejskiego nauczyciela w K. pod Krynicą.

---

* Któż bardziej nad zacnego Ewarysta Estkowskiego zasłużył sobie na to, ażeby go wszystka młodzież polska znała i kochała — on, który całe życie swoje poświęcił na to, aby jej służyć. Podajemy zatem (z Tyg. Jll.) życiorys jego, skreślony piórem przyjaciela, T. L. *P. R.*

W czasie obecnym, przy wzrastającej oświacie i coraz głębszem pojmowaniu zawodu nauczycielskiego, znikają owe groźne postacie nauczycieli wiejskich, ponurych, zatwardziałego serca, żadną łzą nieporuszonych; nie tak łatwo już dziś spotkać się z owym strachem z obwisłemi wąsami, oczyma zapuchłemi, twarzą odętą, z dyscypliną za pasem i z nieznużoną gotowością do wymierzenia chłosty. Nauczyciele dzisiejsi wielce różnią się od swoich poprzednikow, a jeżeli między nimi znajdują się jeszcze zwolennicy dawnego porządku, to już coraz mniej liczni, a i ci oszczędniej używają środka tak ogólnie zakazanego niegdyś, *bicia dziateczek rózgą*.

Pierwszy nauczyciel Estkowskiego był człowiekiem moralnym, to jest trzeźwym, pilnym i przyzwoitym, co nie przeszkadzało wcale żeby nie był srogim względem uczniów swoich. Okrucieństwo ludzi starej szkoły nie pochodziło u nich z serca, ale z przyzwyczajenia i z przekonania, że postępując tak, największą przysługę dzieciom, rodzicom i krajowi wyrządzają. Przysłowiem ich było: „rózga wszystkiego nauczy", i ściśle się do tego stosowali. Gdzieindziej, a mianowicie w Niemczech i we Francyi, wynajdywano ułatwienia w nauczaniu, wyznaczano nagrody za podobne prace; u nas pod tym względem najzupełniejsza panowała obojętność i spuszczano się na rózgę, jako jedyny środek. Oczywiście że postrach i poniżenie moralne nie mogło budzić pojęcia, rozwijać władz umysłowych młodzieży; ale na to nie uważano: dość żeby dziecko było trwożliwe, potulne i żeby po trzech latach codziennej chłosty umiało czytać, pisać i rachować do sta.

„Od pierwszego dnia pobytu w K..., powiada o sobie Ewaryst Estkowski, miało się zacząć rozdwojenie w życiu mojem, które wiele szkodliwych wpływów na późniejsze dni wywarło, i które trwały aż do wstąpienia do seminaryum *nauczycielskiego*". Pierwsze wrażenia pozostają na zawsze w pamięci i wedle tych kierujemy się mimowolnie; nauka, przykłady późniejsze mogą w inną stronę zwracać przekonanie, czynami jednak w ogóle świadczymy powolność pierwszym wrażeniom. Oburzenie przeciwko niesprawiedliwości doświadczonej w dzieciństwie, obudziło w Estkowskim myśl obalenia tej nieszczęsnej zasady dawnego nauczania za pomocą zgrozy, oraz chęć wynalezienia środka pomagającego pamięci młodocianej tak, ażeby nauka raczej była dla dzieci zabawą, aniżeli trudem. Powziąwszy myśl tę szlachetną, oddał jej się z całą miłością; jej poświęcił wszystkie dni swoje, a jeżeli zadaniu zupełnie nie sprostał, to dlatego jedynie iż mu czasu zabrakło. Estkowski wydał walkę dawnemu nauczycielstwu, pracy swojej nie skończył, ale doświadczył przynajmniej tej radości, jaka rzadko komu dostaje się w udziale, iż widział początki zwycięstwa szlachetnej myśli. Kto inny poprowadzi dalej rzecz opuszczoną, jemu przyznaną będzie zasługa że pierwsze grudy rozbijał. Szkółki elementarne wiejskie wydały w Polsce dwóch ludzi wybitnie ludowych, kochających wieśniactwo i oddanych mu całą duszą: Brodzińskiego i Estkowskiego. Brodziński żołnierz, poeta i nauczyciel, miał na sobie więcej charakter kapłański; Estkowski, pisarz i nauczyciel, miał charakter pedagoga z natury; obaj pisarze, obaj nauczyciele.

Najulubieńszym też poetą Estkowskiego był Kazimierz Brodziński; pisał o nim często, cytatami jego wierszy popierał zdania swoje, lgnął ku niemu duszą, nie rozbierając kierunku. Nie wyrównał głębokości Kazimierza ale w miłości wszystkiego co swoje szedł z nim porówno, a w opowiadaniach wiejskich odzwierciedlał tak żywo lud polski; jego podania i zwyczaje, w malowidle przyrody tak przedziwnych umiał dobierać kolorów, że go w tem i sam mistrz nieprzenosi.

Po trzech latach pobytu w szkółce elementarnej we wsi K., nie nauczywszy się niczego, otępiały na umyśle, lękliwy i do zmyślań, jako do jedynego środka przeciwko okrucieństwu nauczycieli, wzwyczajony, Estkowski zwrócony został rodzicom, z oświadczeniem *że do niczego niezdatny*.

Po powrocie do domu, począł się na nowo do twarzy ludzkich przyzwyczajać i powoli pozbywał się złych nawyknień, dzikości i jakiegoś, jak powiada obłąkania. Trwało to tak długo, jak zostawał pod okiem dobrej matki. W Powidzu, dokąd rodzice jego wkrótce się przenieśli, znów rozpoczęła się męka szkolna, którą tak wymownie sam opisuje, klęczenia po całych godzinach z wyciągniętemi rękami, więzienie w piwnicy i t. p., co wprowadziło go na nowo w stan poprzedni i gorzej jeszcze, bo na samo wymówienie nazwiska swego przez kogobądź, drżał z obawy czy na niego plaga nie spadnie; tak już powszednim chlebem była mu szkolna chłosta. W tak młodym wieku stracił wiarę w przywiązanie rodziców, uciekał od wsi i kryjąc się po zaroślach, rzewnie płakał.

Powieści z pisma św., a mianowicie historya Józefa patryarchy, którą często powtarzał, poczęły wpływać na wewnętrzny zwrot ku dobremu. Obrzydził sobie dawne sprawki, poprawił się zupełnie, z wewnątrz duszy odnowił; ale do szkoły wstręt miał nieprzezwyciężony, który do tego aż doprowadził, że ojciec wypędził go z domu, a nauczyciel zakazał do szkół przychodzić. Środek najostrzejszy, użyty przez ojca i nauczyciela, zrobił skutek: chłopiec stał się najpilniejszym uczniem, chociaż do nauki żadnej nie przywiązywał wartości.

Po tej katastrofie, ojciec Ewarysta wszedł w obowiązki gospodarcze, w miejscu gdzie szkoły wcale nie było; zawieszone przeto zostało kształcenie się dziecka. Czas ten poza szkolny stanowił najszczęśliwszy peryod jego dzieciństwa. Teraz miał pole oddać się zatrudnieniom jakie mu najwięcej do serca przypadały; począł malować obrazki świętych, a wieczorem codziennie chodził na prelekcye tak urocze dla duszy dziecięcej, na powieści gminne do starego bajdy włodarza.

Z wewnętrznego pociągu do sztuk i nauk Ewaryst pokazywał zamiłowanie do stanu jaki obrał później; niechęć przeto uczenia się była tylko powierzchowną, wynikłą nie ze wstrętu do nauki, ale do nauczycieli i do więzienia, które nazywano szkołą. Wszyscy nasi poeci i ludzie prawdziwie narodowi mniej więcej zasłużeni, przechodzili jednę drogę biedy i jednę szkołę gminnych powieści: ubóstwo uczyło ich miłości ubóstwa, a gminna pieśń prostoty słowiańskiej. Tak wykształcił się Brodziński, tak Bohdan Zaleski, który dzieckiem przez kilka lat w chacie starego znachora chował się i pieśni ukraińskich słuchał, koczując po stepie, albo grzebiąc w popiele futorowego ogniska.

Do gimnazyum nie miał go ojciec za co oddać, nie pobierając jak ledwie tyle, że na biedne życie wystarczało; i tak upływał czas do roku dwunastego życia Ewarysta, w którym przeglądając się robocie stolarskiej w domu ojca, powziął chęć nauczenia się tego rzemiosła, które mu św. Józefa przypominało. Strugać od dnia do nocy, robić kołyski i stoliki dla ludzi, śpiewać przytem a wieczorem słuchć bajek, ot i cały świat szczęśliwy, a czegoż trzeba więcej?... Na usilne prożby zezwolił ojciec i oddał go na próbę do stolarza. Ale rozczarowanie nastąpiło wkrótce: stolarz upijał się, hulał, używał słów nieprzyzwoitych, dopuszczał się sprosnych postępków, co zniechęciło małego terminatora do majstra i do stolarki. I lepiej się stało, gdyż inaczej byłby może szczęśliwszym osobiście, ale kraj miałby mniej jednego z ludzi wyższych, naukowemu zawodowi się poświęcających.

W roku 1836, przysposobiony jako tako, przyjęty został do seminarym nauczycielskiego w Poznaniu, z wielką swoją radością.

Po trzech latach pobytu w seminaryum, w moc złożonego examinu, odebrał wezwanie od regencyi poznańskiej do objęcia posady nauczyciela we wsi Wojciechowie, w powiecie szremskim. Piękny to był dzień w życiu naszego pisarza i kto wie czy nie najpiękniejszy w całym jego zawodzie nauczycielskim. W dniu tym biedne niegdyś, bite, zahukane chłopię miało przywitać ubogie dzieci, równie jak on niegdyś trwożliwe, przygarnąć je słodyczą charakteru, zamiłowaniem piękności nauki, miało tych swoich młodszych braci ukochać i wynagrodzić im za poprzedników surowe obejście się z nimi. Co za dzień szczęśliwy dla młodzieńca marzącego o szczęściu wszystkich!

Uczniów miał około 80, nie brakło więc zatrudnienia, tem bardziej że młody nauczyciel cały dawniejszy system odrzucał, a nową metodę zaprowadzając, do niej umysły przysposabiać był zmuszony. Serdeczny, ale od dzieciństwa ku przełożonym zniechęcony, Ewaryst Estkowski znalazł się pod zwierzchnictwem inspektora szkoły w Wojciechowie, człowieka przykrego, a ciągłe z nim zatargi zakłócały szczęście, jakiego doświadczać począł w miłości dzieci, rodziców i kolegów. Nieporozumienia te zmusiły go do opuszczenia szkoły w Wojciechowie, i za karę został przeniesiony do małego miasteczka Mikstata jako drugi nauczyciel.

W notatkach swoich Estkowski wiele ważnych dla stanu nauczycielskiego uwag o czytaniu i rolnictwie w tym peryodzie umieścił, których nie widzę potrzeby powtarzać; odsyłam więc czytelników do pracy oryginalnej, to tylko notując, że czynny umysł naszego pedagoga już wówczas wybiegać począł po za obręb swojego działania, że jako nauczyciel wiejski za wiele pragnął nauki na swój stan; że ta chęć ogarniająca go nieustannie, ta walka z sobą, z niesystematycznego czytania autorów wynikająca, te artykuły pisane do dzienników w kwestyach pedagogicznych, to wydawnictwo projektowane książek, zapowiadały już rozleglejsze pole działania, niżeli je miał w Wojciechowie.

W Mikstacie przez półtora roku pracując jako drugi nauczyciel, pozyskał przychylność i zaufanie rodziców i dzieci, i mógłby był spokojnie urząd swój sprawować, gdyby nie chęć nieustanna kształcenia się. Z największą trudnością wystarawszy się o fundusze, porzucił nauczycielstwo i w uniwersytecie wrocławskim zapisał się na fakultet filozoficzny.

Młody nauczyciel wiejski naraz znalazł się jako śród wysp czarodziejskich, z których każda wabiła go na swój brzeg, że aż nie wiedział którą wybrać, ku której skierować się wyłącznie. Kolegia słowiańskie, statystyka; języki, historya, psychologia, logika, nauki przyrodzone, otwierały mu skarby, o których dotąd pojęcia nie miał. Wszystko to chciał wchłonąć w siebie i tak obładowany wiedzą ruszyć z radością między młodzież, żeby jej opowiedzieć o słodyczy owych wód, które nie gaszą pragnienia, ale przeciwnie, im się ich więcej pije, tem więcej się pragnie i tak aż do końca życia.

Przez czas swego pobytu na uniwersytecie skorzystał ile mógł; na dłużej zabrakło funduszów. Pożegnał więc z żalem wszechnicę nauk, oddalając się do rodzinnego gniazda, z nazwiskiem uniwersyteckim *chrobry*, z miłością kolegów i wiarą w przyszłość.

Nic zwykle właściwszego nad owe przezwiska szkolne: przystają one do charakteru jak rzeczywista, wewnętrzna własność, pozostają jako przydomek i herb wydany przez towarzystwo, ze tak powiem, przysięgłych. Nazwisko *chrobry* odpowiadało najdokładniej Ewarystowi: w rysach twarzy jego wydatnych, było coś chrobrego; wreszcie w potomku zacnej litewskiej rodziny Estków (dziad jego pierwszy począł się nazywać Estkowskim), zpokrewnionej z Kościuszkami, nie mogła inna fala krwi płynąć jak staropolska, choroba po dziadzie i pradziadzie. W przyjaźni, w miłości, w pracy, w poświęceniu, chrobry był zawsze chrobrym i chrobrym umarł, na wielką biedę przyjaciół i kraju.

Na uniwersytecie cierpiał taki niedostatek, a nawet nędzę, że po kilka tygodni żył jedynie chlebem żołnierskim i wodą.

W początkach roku 1848, za usilnem staraniem, pozyskał posadę przy seminaryum nauczycielskiem w Poznaniu, której nie objął, aż w końcu roku i to na krótko. Piszący ten pobieżny rys jego życia nieraz miał sobie opowiedane te czasy, a w przyjacielskich powierzaniach się dusza Ewarysta rosła, potężniała, miłość współbraci wydawała się w każdym jego słowie, w każdem poruszeniu.

Ileż to razy powtarzaliśmy sobie: „ej! jeszcze nieźle, tylko kochajmy się!...“ Mówiąc to, mógłżem przewidzieć, że w kilka lat zapłaczę na grobie przyjaciela i że ten grób gdzieś na obcej ziemi wyrośnie?...

W roku 1849 zawiązał towarzystwo pedagogiczne, którego był najczynniejszym członkiem aż do chwili rozwiązania. W tymże roku rozpoczął wydawać czasopismo *Szkołę polską*, do którego później dołączył *Szkółkę dla dzieci*. Pismo to, ocenione przez najznakomitsze pióro krajowe (Karol Libelt, w przedmowie do drukujących się prac Estkowskiego), stanowi jego wieniec pedagogiczny i obywatelski. Ileż to w nim zdrowych rad, ile pomysłów rzucił dla nauczycieli. Nieprzyjaciel kłamstwa i obłudy, przeciw nim walczył wytrwale i nie upadał w przeciwności. Pismo nie opłacało się: ztąd długi, kłopoty niepoliczone, a praca od dnia do nocy, za którą złamanego nie miał szeląga, bo na utrzymanie się musiał dawać lekcye prywatne.

Zaznawszy w dzieciństwie wiele niezasłużonych przykrości, walczył wciąż przeciw nadużyciom. Pierwszą rzeczą w każdym jego postępku było zabezpieczenie się ze strony ludzkiej, uszanowanie dla człowieka, a ztąd równy udział we wszystkich prawach człowieczeństwa.

W przekonaniach religijnych długo wahał się, i może byłby, skutkiem walk duchownymi, wewnętrznie na strone niemieckiego filozofizmu się przychylił, gdyby myśl zdrowa nie była go ostrzegła o fałszywości negacyi, gdyby jak mi to z ust jego wiadomo, widzenie senne nie objawiło mu prawdy. Od tego snu w chwilach smutku czy radości, pracy czy odpoczynku, zazierał już tylko z dziękczynieniem albo prośbą w kraj, w którego bramy niegdyś z chłopięcą zuchwałością bezsilną pięścią uderzał.

W tym także czasie Estkowski ożenił się, i wkrótce Bóg dał mu śliczną dziecinę, którą ochrzczono imieniem Zosi, do którego u nas zdaje się być przywiązane wyobrażenie dobroci, naiwności, wesołości, stanowiących charakter najogólniejszy Polki. Rozkoszna to była dziecina; piastowaliśmy ją po godzinach, kołysali, śpiewali nad nią, póki się nie uciszyła — snem wiecznym.

W lipcu 1851 roku ostatni raz na polskiej ziemi, w życzliwym domu pp. K. w Przystankach, spędziliśmy razem kilka dni szczęśliwych, pływając po owych to jeziorach słonecznych, w godzinie którą tylko w Polsce, dla długiej zorzy, możnaby nazwać godziną wiecznych tęsknot.

W roku 1853 spotkaliśmy się raz jeszcze w Paryżu, dokąd przybył w chęci poznania organizacyi instytutów naukowych. Obszerniejsze plany snuły mu się po głowie, żądza wiadomości paliła go nieustannie i oświecać siebie i oświecać drugich, robić co można, byle czasu nie tracić i nie unikać rzeczy małych, kiedy na podjęcie wielkich sił nie starczy, było jego przekonaniem, do którego każdy chętnie się przyzna, lecz nie każdy wykonywać je zechce.

Na kolumnie wandomskiej, w Luwrze czy w Sorbonie, w szkole sztuk i rzemiosł, czy w Wersalu, wyrywały mu się z piersi westchnienia: „ach! gdyby to było u nas w Polsce!...“

W Paryżu poznajomił się z Sewerynem Gałęzowskim, z ś. p. Adamem Mickiewiczem, który wówczas mieszkał w Montgéron za Paryżem, zwiedzał szkoły, słowem nie zaniedbał niczego, co w przekonaniu jego mogło wyjść kiedyś na pożytek krajowi.

W roku 1854, dla nadwątlonych sił, był u wód w Salzbrunn, zwiedził przytem poraz pierwszy Kraków i Wieliczkę. Poczynało mu się rozwidniać w duszy światłem wewnętrznem wtedy właśnie, kiedy ta dusza do odlotu się zabierała.

Wadliwa organizacya piersi, zmartwienie powoli podrywające brzegi życia, praca od dnia do nocy, wszystko to razem musiało ściąć z nóg tego ruchliwego człowieka, który do końca życia nie wierzył w niebezpieczeństwo.

Po dziesięciu miesiącach ciężkiej choroby wysłany do Ischl, odzyskał siły i wrócił do domu z gorączkową chęcią odrobienia zaległych prac. W październiku 1855 r. rozpoczął nauczanie, lecz nie na długo, gdyż choroba płucowa rozwinęła się szybko, z płuc przeniosła się do gardła i cierpiał niewypowiedzianie.

W następnym roku wysłano go do Soden, gdzie po krótkim pobycie zasnął w Bogu, na rękach przyjaciela swego doktora Gąsiorowskiego, dnia 15 sierpnia 1856 r., w dzień Wniebowzięcia Panny Maryi.

Pokój zacnej duszy twojej zacny mój przyjacielu i poprzedniku w drogę, na którą prędzej czy później puścić się każdemu przyjdzie, choć nie każdemu jak tobie dostanie się ten krótki napis: *Tu spoczywają zwłoki dobrego człowieka.*

Teofil Lenartowicz.

Z Krakowa 16 grudnia.

Pisałem wam już w jednym z moich listów o przymiotach naszej młodzieży i wymieniłem między niemi szlachetność serca kochającego to wszystko, co tylko miłości jest godnem. Otoż na poparcie mego twierdzenia przytaczam wam fakt założenia towarzystwa bratniej pomocy, o której zatwierdzenie młodzież akademicka podała już do Senatu swego — oczekując niecierpliwie rezolucyi. Czyn ten, idący w parze z twoim, szanowny Redaktorze projektem, założenia domu dla biednych uczniów, szlachetnością swego celu sam się chwali najlepiej, świadczy o pięknej zalecie serc polskich, tchnących prawdziwą miłością ku swojej biednej braci — ku swoim spółuczniom. A że to prawdą jest, iż kto był dobrym spółuczniem, będzie dobrym obywatelem — cieszyć się nam dla tego i błogą radować nadzieją, że krajowi naszemu piękna uśmiecha się przyszłość, kiedy takich mieć będzie obywateli. Słyszałem także o amatorskim teatrze, który ma wykonać młodzież na korzyść biednych akademików. Graną być ma ulubionego przez nas Józefa Szujskiego „Halszka z Ostroga“, którą niestety! Czesi pierwej odegrali w Pradze, niż my Polacy... Spodziewać się należy, iż projekt ten uznają i niemłodzi i damy, bez których sztuka odegraną być nie może. — Cel tak szlachetny niezawodnie natchnąć jest zdoleń serca naszych Krakowianek, chętnie pośpieszających zawsze z współczuciem dla niedoli. A będzie to piękna uroczystość! „Halszka z Ostroga“ jest to utwór dramatyczny wielkich poetycznych zalet — a prócz tego jest to obraz historyczny; obraz nasz, z czasów panowania ostatniego Jagiellona — z czasów połączenia się braterskim węzłem Litwy i Polski unią... Możeż być coś stosowniejszego do przedstawienia przez młodzież na scenie — dzisiaj — w chwili ocknięcia się umysłów i zbliżenia się wszystkich serc wielkiego a rozprószonego naszego narodu?

Bardzo nam się tutaj podobał projekt p. *Karola Widmana* co do zaprowadzenia domowych wykładów polskich. Myśl ta piękna i szlachetna, doczeka się zapewne urzeczywistnienia — jeżeli nam przyjdzie za długo czekać na wykonanie woli Najjaśniejszego Pana, co do wykładów w polskim języku na Uniwersytecie. Wierzyć nam jednak wypada, iż radość naszą jaką przejęci byliśmy w pierwszej chwili ukazania się odręcznego pisma cesarskiego, nie będzie płonną— iż doczekamy się jeszcze tego roku zmiany w wykładach i profesorach. Słychać bowiem, iż delegowani *ad hoc* profesorowie w obec pana ministra jednogłośnie zgodzili się na język polski, i że takowy zaprowadzić uradził. — Inaczej ma się rzecz z gimnazyami — ale o tych więcie już zapewnie.

Tylebym zarzucił pięknemu projektowi p. K. W że nim może zawcześnie obala nasze nadzieje — nie wierząc w ich ziszczenie się tak prędkie. Nie ubliżając szanownemu wnioskodawcy, pragnę, aby mój zarzut był słusznym.

Na zakończenie listu wspomnę tu jeszcze o nowej maleńkiej, bo z 3ch kartek składającej się broszurze ks. Waleryana Serwatowskiego, która temi dniami największą ku temu zacnemu kapłanowi wyrodziła sympatyę w sercach wszystkich. Jestto: „Obrona prawdy“ prawdy ewangielicznej, rzeczywiście ewangieliczna obrona. W sprawie bowiem adresu do Ojca świętego przez nasze duchowieństwo wystosowanego, posądzono ks. W. S. o fałszowanie wiary kościoła świętego, a posądzono właśnie fałszami. Sprawa ta toczy się jeszcze, prześladowany kapłan usunięty od urzędowania kapłańskiego broni się w tej broszurze przed światem odwołując się do Boga — do jego prawdy, do jego czystej nauki. Bolesna to rzecz, ten cały spór między duchowieństwem; któż, jeżli nie oni winni krajowi przyświecać zgodą i jednością?

ROZMAITOŚCI.

Odbieramy następujący list od jednego z dobrze znanych i zasłużonych pisarzów naszych, którego zdanie wielce cenimy:......

Śledząc pilnie kierunek pism i dzienników naszych, z radością postrzegamy postęp *Czytelni dla młodzieży*. Opracowania ostatnich jej numerów okazują, iż pismo to wstępuje na właściwe mu stanowisko. Niech wam Bóg przewodniczy i szczęści w tym zawodzie — i coraz to zdolniejszych nasyła pracowników a ochotniejszych czytelników. Wybaczcie, że przy zapowiedzianym od nowego roku powiększeniu rozmiarów waszego pisma, wydało mi się stosownem przypomnieć to, o czem radziliśmy przy spotkaniu i poznaniu się we Lwowie — i przyrzeczeniu oraz z waszej strony przyjęcia tych uwag, i uiszczenia z czasem życzeń i wymagań.

Młodzież nasza, dzisiejszą ochotą swoją i przykładaniem się do nauk i pracy nad sobą, błogie rokująca nadzieje, w braku systemu kształcenia się narodowego, czując potrzebę tegoż, stara się jak widzimy uzupełnić ten niedostatek czytaniem. Młodzież krakowska w zbiorach ksiąg wszechnicy Jagiellońskiej, lwowska w bibliotece Ossolińskich i akademickiej, znajdzie zapewne ku temu celowi źródło niewyczerpane — gdy jednak wybór dzieł zależy tu jedynie od woli i instynktu czytelnika; pomiędzy zaś tymi nie każdy jest tak szczęśliwy, żeby tym wyborem jego miał ktoś doświadczeńszy zakierować umiejętnie i życzliwie — sądzę iż przyjęcie na siebie owego zadania i bratniej opieki nad młodymi kształcić się tu pragnącymi umysłami, jest najwłaściwszym i świętym niemal obowiązkiem *Czytelni dla młodzieży*, którego dopełniać może przez podawanie stałej i systematycznej wskazówki, uczniom każdego wydziału szkolnego, co do stopniowania i rodzaju dzieł przy tem czytaniu: to jest zachowania pewnego porządku w ich wyborze. Podobna skazówka służyłaby w potrzebie i tym, co niemogąc uczęszczać do publicznych czytelni, w domu czytają to tylko, co im przypadkowo wpadnie w rękę. Dla młodzieży zaś uczącej się na prowincyi i niemającej na zawołanie bibliotek publicznych, jak i dla zakładów naukowych żeńskich, w braku dzieł polskich systematycznych i zastosowawczych w tym rodzaju, zdałoby się poświęcić w piśmie waszem choć jedną kolumnę na *Szkice naukowe*, czyli krótkie a treściwe traktaty każdej za koleją nauki z osobna, jakie młodzieniec i uczeń polski przejść powinien. Zadaniem szczególnym tych Szkiców umieszczanych w Czytelni, byłby pogląd zdrowy, praktyczny, z swojskiego wyprowadzony stanowiska i na niem wyłączenie zakończony czyli oparty.

Pod Szkicami naukowemi nie myślę tu wcale prostych tłumaczeń i przedruków suchych dzieł swoich i obcych w tym rodzaju, podzielonych tylko na ustępy dziennikowe — ale rozumiem, pobieżne, dokładne, zajmujące a jasne streszczenie tej lub owej nauki w kształcie jej historyi, z rozszerzeniem się tylko i oparciem nad temi ustępami i postaciami, co stanowiły w niej ważniejszą epokę, zwrot lub też zmianę zupełną — z szczególną zaś oględnością na wpływy, jakie wywrzeć powinna była i i jakie istotnie wywarła w każdej swej epoce, i oraz tych wpływów lub ich zatamowania, przyczyny — osobliwie w naszym narodzie i krajach

Tak więc *Czytelnia dla młodzieży*, trzymając się przyjętego porządku w jakim bywa udzielana oświata każdemu człowiekowi od najpierwszych początków, niechajby swoje wykłady zaczęła od historyi religii w ogólności, od początku świata bardzo szkicowo — nieco obszerniej o chrystyanizmie i katolicyzmu rozwoju, z szczególnem zaś na zakończenie zwrotem i oparciem się nad oddziaływaniem obu na nasz naród, i tegoż przyrodzonem usposobieniem do przyjęcia lub nieprzyjęcia tych oddziaływań. Dalej w ten sam sposób i z tym wzrotem, nastąpiłaby historya powszechna i narodu naszego — historya filozofii, literatury, sztuk pięknych, historya nauk przyrodzonych — statystyka, ekonomia polityczna, historya rzemiosł i t. d.

Chcąc zaś żeby jak już powiedzieliśmy, to opowiadanie nie było suchem lub co gorsza bezładnem powtórzeniem tomowych dzieł w tym rodzaju, ale treścią wiedzy porządkową, wziętą z życia przeszłego, nie dla próżnej teoryi ale dla życia przyszłego służyć mającą, nie dosyć tu pracy i zdolności pojedyńczego człowieka — ale dla każdej gałęzi naukowej, potrzeba do opracowania sumiennego tych Szkiców zjednać lub uprosić ludzi zawodu (fachowych), ludzi wytrawnych a z szczeremi uczuciami dla swego narodu.

Znane mi wszelkie trudności w tej mierze dziennikarskie, z których główną bywa wszędzie i zawsze brak funduszów, nie wątpię, że i tu redakcya Czytelni nie mało napotkałaby ich do zwalczenia — zważywszy jednak miarę z tąd zasługi, trudy w jej osiągnieniu wydadzą się mniej dotkliwemi. Przy upowszechnionych dziś sobkostwie i płytkiem braniu rzeczy, są jednakże i ludzie prawdziwie uzdolnieni, ludzie z poświęceniem i duchem ofiary. — Znane nam już po części chęci i dążności redakcyi *Czytelni dla młodzieży* są nam rękojmią, iż ta nie weźmie nam za złe, tych ponownie udzielonych jej rad i życzeń naszych, wypływających jedynie z szczerej przychylności tak dla pisma jak i dla czytającej powszechności.

Korespondencya redakcyi.

— Panu Miecz. P. w Przemyślu. Zapowiedzianą powiaskę Walerego Łozińskiego „Wieszcza mogiła“ dopiero w przyszłym umieścimy numerze, ponieważ autor zpowodu natłoku pracy, na czas wykończyć jej nie mógł.

— Panu B.. w Manast.. Wszystkie nadesłane prace chętnie umieścimy skoro się do naszego pisma przydadzą.

— Panu D. F. N. w Wiedniu. Zabawne zapytanie!

Tytulik i spis rzeczy rozesłany zostanie w Styczniu.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillear.